

Wychodzi co niedzielę jako bezpłatny dodatek do dziennika »Głos Narodu«.

Przedpłata na sam »Głos literacki i społeczny« wynosi rocznie 8 koron, półrocznie 4 korony, kwartalnie 2 korony.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI

Nr. 10. Kraków, dnia 10. marca. 1901.

Z wojny w południowej Afryce.



Ukaranie zdrajcy w obozie boerskim.

Antoni Lange.

Urodził się w roku 1863 w Warszawie, gdzie też ukończył gimnazyum i w uniwersytecie studyował przyrodę, przyczem uczył się gorliwie i „z niemałym nakładem pracy“ — jak sam przyznaje — języków obcych, aż stał się prawdziwym poliglottą. Tak przynajmniej wypadałoby z dużej liczby przekładów zagranicznych poetów, w których szeregach spotykamy obok Francuzów i Niemców także Anglików, Belgów a nawet Węgrów.

Tłómaczenia pochodzą z różnych czasów i różnej są wartości; często dobre, często wdzięczne, często nawet silne, ale czasem też pisane dorywczo, lub zmącone takim wybrykiem niegramatycznym, jak „Voyage“ Baudelaire'a:

„porzucają...
Zapatrzone w kobiety oko — astrologi nie- [którzy,
Swoją Cyrce tyrańską o zapachu róży“.

Oprócz dwu komedyj Shakespeare'a, włączonych później w VIII tom lwowskiego wydania z roku 1896, pierwszej pieśni „Raju utraconego“ i zbiorku, który wyszedł w dodatku do „Gazety Polskiej z 1899 r., przełożył jeszcze przy pomocy Adama M-skiego „Fleurs du mal“ Baudelaire'a („Kwiaty grzechu“, Warszawa 1894), „Estetykę“ Verona, „Mitologię“ Langa i wiele, wiele innych rzeczy.

Podczas czteroletniego pobytu w Paryżu na studyach literackich (1886—90) zapoznał się dokładnie z francuską poezyą, która miała położyć wybitne piętno na samodzielnej jego twórczości. I tak, wpływ Baudelaire'a objawił się przedewszystkiem w przewadze refleksyi nad uczuciem, czego skutkiem było, że poeta nieraz nie pisał, ale po prostu układał wiersze. Z Leconte del' Isle'a wziął zamiłowanie do tematów wschodnich, z Sully Prudhomme'a zdrowy pogląd na przyszłość. Do tych trzech mistrzów dodać musimy Zygmunta Krasińskiego, gdyż styl prozy p. Langego jest echem jego stylu, echem jednak niebardzo pełnem i dźwięcznem. Naturalnie wpływy te mięszają się razem ze sobą i z innymi, tworząc żyzną glebę, z której poezja jego wyrośnie, ciągnąc soki, ale puści także oryginalne gałązki i rozkwitnie własnem kwieciem.

Pierwszym większym utworem był „Pogrzeb Shelleya“, napisany w roku 1886, wydrukowany w r. 1890 w Warszawie. Autora pociągała sama postać Shelleya a następnie urok pogańskiego obchodu pogrzebowego. Shelley był dlań równoważnikiem Byrona: Byron burzył — Shelley budował, Byron w człowieku widział zło — Shelley i dobro, Byron wierzył w wieczną noc — Shelley w jutrzenkę. Zginął on podczas burzy na morzu Śródziemnem, a ciało jego, wyrzucone na brzeg przez fale, zostało, z powodu szerzącej się wówczas zarazy, spalone na stosie, „zupełnie w stylu greckim“. Oto treść poematu:

Cisza. Fale morza pokładły się spokojnie, wiatr zcichł, niebo pogodne, promienie słońca całują kwiaty i liście drzew.

„Ale ta cisza jest to lilia biała,
Co na mogile kwitnie“,

bo ofiara burzy, młody poeta, bez życia leży na wybrzeżu i nigdy już nie położy rąk na dźwięcznej lutni. Na trzeci dzień, Byron, z gromadką druhów, znalazł zwłoki zmarłego. Wzniesiono ogromny stos z pinioli, obrzucono go kwiatami, złożono zwłoki, polano wonną oliwą, poczem Byron zbliżył pierwszą głownię. Płomień z początku, jakby lękliwie, wolno okrążał stos, potem rozrósł się, buchnął potężnie, objął ciało wieszcza i od stóp idąc ku piersiom, zwęglił, spopielił wszystko. Ocalało tylko serce.

Takie są ramy. Dla nadania ruchu, co jakiś czas nad płomieniem ukazuje nam poeta postacie, wyjęte z utworów Shelleya. Więc słońce, obłok, wiatr zachodni, Alastor i Prometeusz zjawiają się, biadają nad zgonem, zawodzą, wróżą sławę, wreszcie nad gasnącym stosem budzi się Byron i... wypowiada mowę pogrzebową. Uczucie idzie w niej za kulisy, na scenie zostaje bardzo mądry pan, któremu nadarza się sposobność palnięcia kilku słów pod adresem Greków i gorącego wezwania ich do boju. Balast przemówień odbiera połowę uroku poematowi, tem bardziej, że są one rozwlekłe, ale nie silne (z wyjątkiem słów wiatru), chociaż autor widocznie chciał je natchnąć kipiącą energią.

Lange wydał jeszcze dwa tomy poezyj. (Cz. I. Kraków, 1895, Cz. II. Kraków, 1898). Pomijając utwory drobniejsze rozmiarami, przypatrzymy się większym. Oto wycieczka na pole społeczne. Pan Baudelaire napisał „Venus Verticordia“, „Venus Morfo“, „Venus Milońską“ — dlaczegóżby p. Lange nie mógł wynaleźć nowej edycyi? Pisze tedy „Venus żebraczkę“. P. Baudelaire malował krzyczącemi farbami, ciągle z jednej palety, i naszkicował dziwolągi równie piękne, jak bezlitosne. P. Lange odziedziczył paletę i rozrobione farby, ale niewprawną ręką zrobił to, co w gwarze malarskiej nazywają „kiczem“.

Różni różnie ubierali Venus. Pospolicie chodziła... bez ubrania. Teraz zabawia się w maskaradę. Suknię wkłada dobrze podstarzałą, dobrze podartą i niezgorzej zaszarganą błotem, buciki odpowiednie do kostyumu, dziurawe, na ramiona zarzuca kraciastą chustkę i, „opuściwszy celę“ (!), idzie na spacer. Że kokietuje przy pomocy oka i spodnicy, nie potrzeba dodawać; że lubi zaglądać do szyneczku, chyba także. Ale zagląda nie w celach ubocznych, tylko po to, aby przypatrzeć się nędzy. Widocznie jednak podstarzała już bardzo biedna Venus, gdyż choruje na krótkowzroczność. Dwie bowiem jedynie widzi warstwy. Pierwsza, ta z szynku, robotnik, który naturalnie ma suchoty, woźnica, który wozi „tamtych“, naturalnie na rozpustę. murarz, który naturalnie nie ma zajęcia i wykolejony artysta, który naturalnie nie znalazł u „tamtych“ uznania. Wszyscy już wprost nienaturalnie piją, a Venus współczuje i w myśli coś przeżuwa. Druga warstwa, to „tamci“, wybrańcy: śpią w puchach, pospolicie objadają się, nic nie robią, za to nudzą się, a po drodze do dzisiejszego stanu zgubili zdrowie i siłę woli, słowem są za życia już trupami. Ale poczekajcie, łotry! Venus zemści się na was. Ona ma uśmiech dla każdego i dla każdego miłość. Staniecie się jej niewolnikami, ona opęta wasze dusze, zepchnie w błoto, będziecie się bić o nią (!), a ona tymczasem nigdy nie zaspokoi waszych żądz, krew wyssie, spali mózg. Teraz zaś ciągnie powoli z kieliszka i układa plan batalii przy brudnym stoliku karczemnym...

Dwie widzimy alternatywy: albo Venus jest symbolem kobiety z tłumu i wtedy porwanie się jej do wymierzenia sprawiedliwości jest grubo śmieszne; albo też jest kobietą wogóle. Pomijając już, że i w tym wypadku idea zostanie płytkim nonsensem, to przecież dobijanie półtrupów ani nikogo nie zbawi, ani nikomu nie pomoże. Są pono jeszcze ludzie bardzo zdrowi, bardzo mocni i bardzo nieczuli na wdzięki niewieście, którzy przedewszystkiem łupią skórę z tych, co przeważnie przesiadują w szynkach. Ciekawym, jak się do takich panów zabierze Venus?

Poemat jest tak niesmaczny w treści, w obrazach, bohaterka tak obrzydliwa, pomysł tak dziecinny, że cały debiut na deskach społecznych zaliczyć musimy do kategoryi występów, które przyjmuje się sykaniem...

P. Lange zrobił oprócz urywku p. t. „Wyrwidąb i Waligóra“ jeszcze jeden zamach epicki i — fiasco.

Autor zdradza wprost brak smaku, kiedy każe w „Lilith“ wędrować bohaterowi do cudownego (!) pałacu, zbudowanego wszystkiemi stylami, jakie istniały, i nie spostrzega, że z tego Babylonu stylów powstanie potworna mięszanina, lub kiedy każe w pałacu zamieszkać kobietom różnych kategoryj i różnej wartości. Nam jednak trudno wyobrazić sobie Fryne, idącą pod ramię z św. Teresą, albo Lady Mackbeth z Lillą Wenedą, bo jeżeli nawet cnota może przebaczyć zbrodni, to zbrodnia będzie czuła zawsze instyktowną nienawiść ku cnocie.

Dopiero z czasem umysł poety pogłębił się, widnokrąg rozszerzył, a idąc drogą prób i analizy, wreszcie wypowiedział syntezę w „Godzinie“. I tu nie brak usterek, i tu n. p. skorupa symboliki tak gruba, że z trudem trzeba ją odłupywać, ale pogląd autora na świat jest dość jednolity, silnie spojony i wcale trafny. Dla braku miejsca nie przytoczymy treści, pominąć musimy nawet ważniejsze wiązania pięknej budowli, a nadmienimy tylko o zapatrywaniu poety na współczesność.

Niewypełnione nadzieje ubiegłej epoki, niezaspokojone marzenia, szybki spadek pojęć moralnych, zrodziły choroby wieku, toczące ludzkość, jak robak drzewo. P. Lange nietylko uprzytomnia sobie słabość, lecz także namiętnie protestuje

---

6 MATCE RZECZYPOSPOLITEJ.

POWIEŚĆ MIESZCZAŃSKA.

Ze starych dokumentów wypisał LUDWIK STASIAK.

Było cicho.

Z mozołem otwarto żelazne pudło, w którem była czaszka ludzka, oraz ręce kościotrupa, trzymające krzyż i ołowiany różaniec.

— Czyto waszmość pan jesteś tym samym porucznikiem von Pens, który szlachcica z Sierosławic, broniącego przed wami swego mienia, w oczach dzieci powiesić kazał?

— Tak! to ja. Stawiał opór przeciw prawowitej władzy.

— Zupełnie słusznie... I dziecko jego jedno wrzuciłeś wasza miłość w płonącą strzechę dworu?

— Jeden z moich rajtarów to uczynił.

— A więc wasza miłość to ten sam von Pens... Zniewoliłeś przy pomocy rajtarów jego nieletnią córkę, kilkunastu zaś chłopom, którzy wsi bronili, kazałeś waszmość pan prawe ręce poobcinać.

— Czy to indagacya?

— Broń Boże! Ja tak się cieszę z nauki danej przez waszmość pana opornym. Admiruję waszą miłość. No chodźmy na górę.

— Chodźmy.

— Wojciechu, idź z pochodnią naprzód. — Za kościelnym szedł po drabinie burmistrz. Przystanął na szczeblu przy podłodze kościelnej, a oczy jego jak błyskawice latały po zaułkach fary. Płonął w nich ogień straszny.

Zwrócił się do lajtnanta, idącego za nim po drabinie i rzekł zduszonym głosem:

— Precz z drabiny!

Kopnął go w piersi, strącił na dno sklepu, drabinę zaś jak wiór na posadzkę sklepową wyrzucił.

Dwóch ludzi przyskoczyło do głazu kamiennego, który spoczywał na krągłym dębczaku. Lekko, po walcu, stoczyli ogromną płytę, która czeluść zakryła. Gdy głaz dolatywał do framugi, słychać było z dołu straszliwe ludzkie wycie... Ucichło, gdy kamień wleciał w swe fugi.

W kościele była grobowa cisza, taka że z zakrystyi słychać było echo gdańskiego zegaru: tyk tak, tyk tak.

. . . .

Ledwie burmistrz stanął w izbie pisarskiej ratusza, gdy zjawił się u niego żołnierz z rozkazem, aby się natychmiast na zamek zgłosił. Był tam zebrany cały sztab oficerski wraz z polskimi sprzymierzeńcami.

Na podłodze kwatery leżało srebro zabrane z kościołów, w kącie stał zdobyczny tryptyk świętej Kunegundy.

— Szukaj żyda, — rzekł do wchodzącego burmistrza pułkownik Rejer,

— Nie masz tu żydów.

— Jakto nie ma?

— Wypędzeni po wieczne czasy z miasta dekretem królewskim z roku 1605.

— Za murami miasta niema handlarzy?

— Są u grabi Lubomirskiego na Wiśniczu.

— Sprowadź ich wasze na to srebro.

— Zawsze chętnie słucham zleceń waczej wysokości.

— Gdzie jest lajtnant Pens? Został z waszecią w kościele?

Burmistrz zaśmiał się.

— Gdyśmy wyszli z kościoła, zobaczył śliczną dziewczynę i poszedł.

— On zawsze był taki. Służbę opuści dla podwiki.

— Każdy wiek ma swoje prawa. Młodość musi się wyszumieć.

— Nie wiesz wasze, kiedy wróci?

— Tego wiedzieć nie mogę. Musiał daleko za nią lecieć, bo ona mieszka za przedmieściem na sądeckiej drodze.

Tymczasem von Pens rzucał się po sklepie jak szalony. Krzyczał nieludzkim głosem dzień i noc, wreszcie ochrypł i krzyczeć nie mógł. Schował się w sam róg sklepu, bo zdało mu się, że z trumien ludzie powstają mściwi jacyś ludzie. Sto szkieletów wstaje, sto rąk okropnych trupich wyciąga ku niemu.

Trwało to długo, godzin kilkanaście, może kilkadziesiąt. W kilka dni zabrakło mu sił. Rzucił się spać. Leżał na wilgotnej podłodze, a głowę złożył na kupie śmieciska i próchna. Zapadała mu jak w poduszkę pełną puchu, musiał przeto poszukać czegoś na czem by pewnie głowę oprzeć. Znalazł. Była to trupia głowa. Przecież zasnął, żeby się obudzić w świadomości strasznej...

Nowe dwa dni upływały, a Pens szalał...

Szczęściem wpadł w takie umęczenie, że godziny płynęły mu w półśnie. Wtedy mniej czuł.

Półsen trwał długo. Budził się czasem, szamotał jak wilk w sieci i zasypiał znowu.

Trwało to dni kilka.

Na nieszczęście przytomność wróciła. Stracił rachubę czasu, zdało mu się, że on tam już rok siedzi w tej okropnej jamie. A był to dopiero dziesiąty dzień...

Wzrok wyostrzył mu się tak, że widział wszystkie trumny, każdy kamień, każde spojenie głazów. Słuch wyostrzył się tak, że słyszał delikatny plusk zaskórnych wód, które przez kamienie przeciekały.

Cicho.

Słyszy! słyszy, że dzwony biją wszystkie, że śpiewają księża, że lud nabożne pieśni śpiewa.

Ludzie chodzą nad jego głową, śpiewają... każde klęknienie nędzarz słyszy, każdy krok ludzki słyszy a jego tam nie słyszą i nikt nie poda pomocy, nikt nie wyciągnie ręki na ratunek...

Woła ogromnym głosem, o litość woła... zdaje mu się, że woła...

On już nie ma sił głosu ze siebie wydobyć! Jeść się chce, jeść.

(C. d. n.)

przeciw tym, którzy, mając w ręku broń wyższej inteligencyi i lotniejszej wyobraźni, zamiast zbadać ropiące rany okiem lekarza i całem natężeniem woli szukać kojących lekarstw, jeszcze z szatańskiem zadowoleniem krwawiący nóż głębiej wpychają, albo też z egoistyczną obojętnością odwracają się od strasznego widoku. Czarny pesymizm, sceptycyzm, amorfizm woli, pogarda dla natury, ulubienie sztuczności, wreszcie utrata tajemnicy szczerej miłości, to zmory, trapiące t. z. "ludzi myślących". Reszta, w pogoni za zyskiem — przestaje nawet rozumować. Mierność, byle za nią stał pieniądz — cieszy się uznaniem; poetów nie słucha się, tembardziej, że często grają fałszywie; filozofia zamyka się w czterech ścianach samolubstwa i tworzy moralność utylitaryzmu.

I kiedy głuchy pomruk niezadowolenia łączy się z beznadziejnością w jeden chór rozpaczy, kiedy ponad wszystkie zagadnienia wyrywa się pytanie: czyż więc epoka nasza jest naprawdę rozpadaniem się strupieszałego ciała? — wówczas poeta potężnym akordem lutni przeczy zwątpieniu i głosi jutrzenkę. Wiek ten, to wiek „spowiedzi". (Tołstoj!) Robi się analizę dusz własnych, cnót, zbrodni, bezwzględnie zdziera się maskę obłudy i szuka się nagiej prawdy. I taki całkowity rachunek sumienia z przeszłości i teraźniejszości, jest potężnym krokiem naprzód, po drodze do zupełnej świadomości, po uciążliwej, żmudnej drodze, jaką podąża ludzkość ku szczęśliwszemu jutru.

W lirykach miłosnych (Erotyki, „Vita nova"), poeta, z umysłem z natury już refleksyjnym, zaakcentował silnie rozmyślania na temat ogólny, lecz albo parafrazuje cudze utwory, albo też ociężale unosi się ponad mierność, by rzadko kiedy zabłysnąć silniej i jaśniej.

Naturę kocha głęboko i odczuwa ją dość silnie. „Sielanki", „Z lasów i pól", „Echa zimowe" są bukietami, złożonymi z ładnych pejzaży, rysowanych nieraz barwnie i wdzięcznie, lecz i tu stanął autorowi na przeszkodzie brak bujniejszej wyobraźni i większej rozmaitości w kolorycie.

Poematy obleka p. Lange w przeróżne formy, wśród których zdarzają się nawet stornelle, ritiority i choreodaktyle. Z początku utyka często, używa prowincyonalizmów, mnóstwa słów obcych, ukuwa niezgrabnie nowe wyrazy, z czasem jednak opanowuje wiersz coraz bardziej, coraz szczęśliwszych dobiera porównań i metafor, staje się absolutnym władcą formy, lecz mistrzem nie został po dziś dzień i — utinam falsus vates sim — nie będzie nigdy. *St. T.*

Or — Ot.

Z „Warszawy w rymach"

„Pod trzema murzynami".

Ma świat magnacki swe reduty
Assamble i pikniki,
Gdzie hasa młodzież, pełna buty,
Pod pańskiej dźwięk muzyki;
Tam drogi jedwab lśni wspaniale,
A wino mknie strugami, —
Lecz niema balów, jako bale
«Pod trzema murzynami!»

Dudni na basach Fajwel stary,
Tnie Josek na klarnecie,
Suną ochoczo dziarskie pary
Mazurka — dziw na świecie!
Raz wraz ktoś: »Żwawiej!« krzyknie w tłumie,
Podkówki skrzą iskrami, —
Tak się tańcuje, miły kumie,
«Pod trzema murzynami!»

Kompania zacna i dobrana,
Broń Boże — nie hołota!
Jest szewc z Piekiełka (postać znana)
Ot, strąbił się niecnota!
Jest imćpan woźny z magistratu,
W mundurze z galonami, —
Masz szacownego bukiet kwiatu
«Pod trzema murzynami!»

Stangret od pana kasztelana
Gawędzi z piękną «młodszą»,
Twarzyczka biała i różana
Ma z minek swych — najsłodszą.
A sierżant na to patrzy w gniewie
I miota skry oczami, —
Ba! płoną serca, jak zarzewie,
«Pod trzema murzynami!»

Modnych tu trunków niema zgoła,
(Słabujesz po nich dwa dni!)
Lecz zato kimel: uchyl czoła!
A piwko — plackiem padnij!
Gospodarz — z takim śmierć i życie! —
Zborguje ci czasami, —
Tedy się pije znakomicie
«Pod trzema murzynami!

A że niekiedy — krew nie woda! —
Ktoś plunie w garść żylastą,
Ze schodów jaki paliwoda
Stoczy się w lot na miasto;
Że baby sapiąc, jako miechy,
Ozdobią się sińcami, —
Toć to nie psowa cnej uciechy
«Pod trzema murzynami!»

Szary do sali świt zagląda,
Już pora po za progi,
Ale się jeszcze tańczyć żąda,
Jeszcze drygają nogi!
Kapela wódki półkwaterek
Łyknęła z ukłonami, —
I na waletę grzmi oberek
«Pod trzema murzynami!»

Przeszły assamble i reduty,
Wielkiego świata bale,
Śpi w grobie młodzież pełna buty,
Po hucznym karnawale.
Lecz wbrew czasowi, co obala,
Druzgota — niszczy — plami! —
Żyje w tradycyi sławna sala
«Pod trzema murzynami»!!!

NA CZASIE.

(Porachunki tygodniowe).

Minął już oddawna czas, kiedy łokieć i miarka były uważane za coś pospolitszego od innych zajęć, a kupiectwo nazywano zajęciem, nieodpowiedniem polskiej naturze. Pomału, pomału zmądrzeliśmy o tyle, że nietylko t. zw. warstwa niższa i średnia wzięły się do handlu, lecz nawet potomkowie rodów historycznych nie wstydzą się czasami umieszczać swe pięknie brzmiące nazwiska na szyldach sklepowych.

W przyczyny nie myślę wchodzić; mniejsza oto, czy rozumu nauczyła nas bieda, czy przyszedł poprostu zwyczajną drogą, z biegiem lat; dość że obecnie już go w części, dzięki Bogu, posiadamy. Zwłaszcza Królestwo i Poznańskie przyświecają chlubnym przykładem. W Galicyi — jest nam pod względem narodowym i politycznym za wygodnie, abyśmy musieli wytężać swe siły i zamiary po za utartą ścieżkę karyery urzędniczej, adwokatury lub medycyny. Nic tak nie wydobywa na światło dzienne ukrytych sił narodu jak — ucisk, nic tak głęboko ich nie zakopuje, jak pozorna swoboda.

Choroba niemieckiej cesarzowej wdowy.



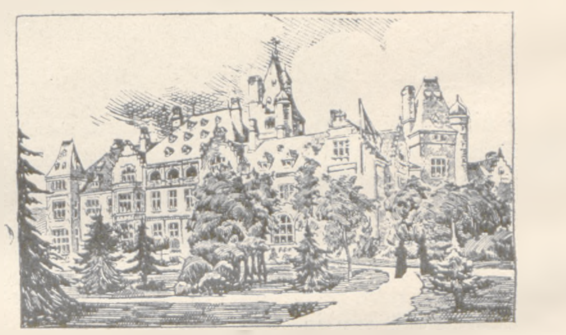
Cesarzowa Fryderykowa niemiecka wdowa po Fryderyku III

Wszyscy jednak kupcy narodowości polskiej, czy to w Warszawie, czy w Galicyi czy nawet w Poznańskiem mają jedną wspólną i sobie tylko właściwą cechę, która, nie ubliżając wcale ich rzetelności i duchowi przedsiębiorczemu, jest wielce charakterystyczną i znamienną.

Oto brak im tego, co się zwie kupiecką cierpliwością i spokojem w robieniu interesów.

Niemiec, zakładając sklep, oblicza kapitał, jakim rozporządza, stara się o sprowadzenie jak najtańszych towarów w dobrym gatunku i sprzedaje je możliwie prędko, a więc po jak najniższej cenie, aby uzyskanym stąd kapitałem dokonywać znowu dalszych obrotów. Wie on dobrze, iż umiejętne obracanie niewielkim zasobem gotówki, może doskonale zastąpić większy, lecz leniwy kapitał. Małe zyski a częsty obrót — oto dewiza Niemca.

Choroba niemieckiej cesarzowej wdowy.



Zamek Friedrichshof, gdzie leży chora cesarzowa Fryderykowa.

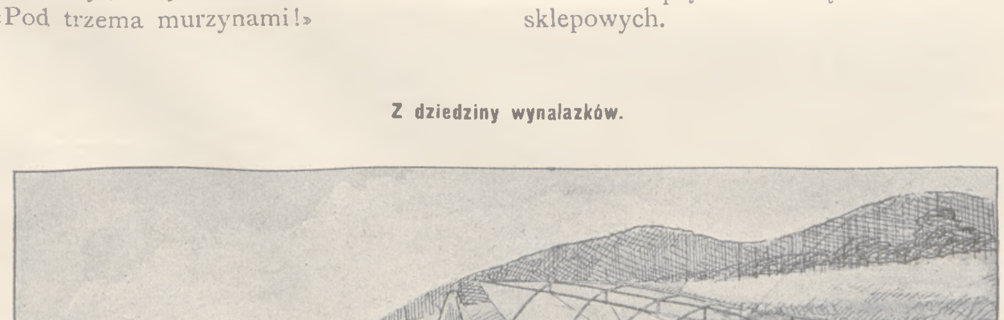
Inaczej ma się rzecz u nas. Polscy kupcy sprowadzają przeważnie doskonały towar, ale wiedzeni chęcią dużych zysków i dobrego oprocentowania swego kapitału, nakładają wysokie ceny. Bezpośrednim skutkiem tego jest, że publiczność, odstraszona ceną artykułów, czyni swoje zakupy u firm żydowskich, lub sprowadza towar z Wiednia a nawet z zagranicy. Tym sposobem chętka dużych zysków zawodzi i kapitał leży martwo.

Taka metoda nie jest bynajmniej wynikiem braku przygotowania do zawodu handlowego, lub nieumiejętnego obliczenia targowych koniunktur. Przyczyny jej tkwią głęboko w naturze i temperamencie narodowym. Ten sam interes na którym Niemiec pragnie się wzbogacić w ciągu lat dwudziestu, ma służyć Polakowi do zrobienia majątku w czasie pięć razy krótszym.

Przyczyny tego, zaiste, trudno dociec i nie spotkałem się jeszcze z należytem jej uzewnętrznieniem. Jeden z moich znajomych wynurzał się wprawdzie odnośnie do tej sprawy, że Polacy, jako mistrze w szybkiem wyrzucaniu pieniędzy, chcieliby je równie prędko zdobywać i pomnażać, ale cząstka prawdy tkwiąca w tem zdaniu, zbyt jest okutana watą paradoksalności, aby ją można odrazu zauważyć...

Faktem pozostanie, iż dużo jeszcze upłynąć musi wody, zanim kupcy polscy dorównają za-

Z dziedziny wynalazków.



Statek napowietrzny inżyniera Kressa.

granicznym w przymiotach, od których zależy powodzenie interesu, zaufanie publiczności, a co zatem idzie, liczna jej frekwencya.

Zdarzył się w Krakowie fakt, dość zresztą pospolity, ale zasługujący na parę uwag.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor rewolwerowego pisemka, odpokutował niewczesny dowcip, zamieszczony w jego łamach, przymusowem poddaniem się niemiłej operacyi, która z chirurgią nic nie ma wspólnego. Była to dobitna odpowiedź udzielona pismu nie na ręce, lecz na zupełnie inną część ciała odpowiedzialnego redaktora, za to, iż jeden z jego współpracowników dopuścił się lichego, choć dosyć złośliwego konceptu.

Opinia publiczna nie zajęła się tą bolesną korektą redakcyjnego błędu, a to dla tego, że i samem pismem, w którem ów błąd się znalazł, nie interesuje się nikt, prócz ludzi bezpośrednio w niem zaatakowanych lub ich nieprzyjaciół. Kraków jest tak już osłuchany z huczkiem publicystycznych rewolwerów różnego kalibru, że nie zwraca wcale na nie uwagi, tem mniej zaś obchodzi go łomot kijów spadających na cudze plecy. Dawniej było by to może większą odnośnemu pisemku zrobiło reklamę, dziś jesteśmy już tak przyzwyczajeni do wieści, iż ktoś kogoś gdzieś za coś obił, że biednemu wydawcy jednego lub drugiego rewolwerka musiałyby plecy spuchnąć nakształt bani, zanim by skandal, wywołany w ten sposób, przysporzył mu choć jednego abonenta.

Mimo całej pogardy dla paszkwilowych pisemek, trudno wszakże nie przyznać, iż podobny sposób wymierzania sobie doraźnej sprawiedliwości, pachnie nieco wonią stepów amerykańskich, siedziby *lynchu*. Chociaż, z drugiej strony, co ma począć człowiek obryzgany jadem złośliwego konceptu, jeżeli materyalne środki nie pozwalają mu na zamknięcie złośliwych ust brzęczącą monetą, a krew nie woda wzdraga się przed zastosowaniem włoskiego aksyomatu: *„guarda e passa"*?

Pociąganie złośliwego trefnisia przed kratki sądowe nie zda się na nic, gdyż czekająca kara, jeżeli w ogóle zostanie wymierzoną, nie znajduje się w żadnym stosunku do skandalu, wywołanego procesem. Posyłać sprostowania na zasadzie ustawy prasowej? Dzięki nadużywaniu tego środka, stracił on już teraz wszelką skuteczność! Prosić uczciwe pisma o sprostowanie? Żadne z nich nie umieści ani słowa, gdyż dziennikarze doszli do przekonania iż »Todtschweigen«, jest, w tym wypadku, jedynym środkiem na zaszczepienie paszkwilowi bakcylów suchotniczych. Zostaje zatem pogardliwe milczenie, lub — kij.

Na pierwsze nie każdy się zdobędzie, lecz tem drugiem wielu dzielnie włada, skutkiem czego niejeden »redaktor od siedzenia« może dziś śmiało powiedzieć, że ma dobre prawo do powyższego tytułu, acz w pojęciu nieco odmiennem od tego, które zwykle z tą nazwą bywało łączone...

Pertinax.

Stuletnia rocznica zgonu Chodowieckiego.



Daniel Chodowiecki, znakomity artysta-sztycharz, * 16. X. 1726., † 7. II. 1801.

KEPI.

Przez

C. WESTER.

I.

...nagle począł bić rękami powietrze, podskoczył do góry i padł na ziemię. Żołnierze podbiegli ku niemu, lecz wszelka pomoc była już zapóźną i zbyteczną. Ciało porucznika Cordier leżało nieruchomo na posłaniu z trawy, spalonej słońcem.

Przeniesiono je do lazaretu, a następnego dnia odbył się pogrzeb. Porucznik Cordier został złożony do grobu w pełnym mundurze, z wyjątkiem kepi. W chwili, gdy otrzymywał strzał, spadło mu z głowy i znaleziono je dopiero po kilku dniach. Powieszono je w izbie strażniczej.

Nie mieliśmy jakoś szczęścia, lecz mimo to walka wrzała rozpaczliwie, a mały posterunek Tubah opierał się dzielnie Arabom. Trójkolorowy sztandar rzeczypospolitej dumnie powiewał w rozpalonem od żaru słońca powietrzu. Gubernator Tunisu przyrzekł telegraficznie odsiecz, więc w oczekiwaniu jej walczyliśmy dzień i noc. Od czasu do czasu pojawiali się rozbitki z innych posterunków; właśnie u komendanta placu zameldował się młody człowiek i, spostrzegłszy wiszące kepi, wziął je w rękę.

— Tego mi było potrzeba! Możnaby myśleć, że dla mnie specyalnie zrobione...

— To kepi naszego dobrego kamrata — odpowiedział poważnie komendant, — wczoraj zginął i zapomniano włożyć mu je do trumny.

— Całe szczęście, że zapomniano! Panie pułkowniku! spieszę do forpocztów.

— Z Bogiem, kolego! — odpowiedział siwobrody pułkownik.

W godzinę później przyniesiono kepi z powrotem. Ten, na czyjej głowie spoczywało, padł przed bramami miasta. Pierwsza kula nieprzyjacielska położyła kres jego życiu.

Kepi znowu zawisło na gwoździu, pokryte warstwą kurzu. Po czternastu dniach przybył nowy oficer. Zgrabna, mała czapeczka paryskiego fasonu bardzo mu się spodobała, więc wdział ją, idąc na szańce. Lecz Arabowie umieją strzelać; tego samego dnia odniesiono młodzieńca na marach do lazaretu. Możnaby sądzić, iż zmarły pierwszy posiadacz kepi był zazdrosny o swoją własność.

II.

Druga kompania poszła wczesnym rankiem na rekonesans, bez trąbek i bębna. Słońce krwawo błyszczało nad kredowemi skałami. Żołnierze nie szli, ale wysuwali się cicho za bramę, która zamknęła się za nimi.

Arabowie usadowili się w pobliżu Tubah i na nich to miał poprowadzić kompanię Louis Jongmont, który temu dni parę przybył ze swoimi ludźmi na pomoc naszym oddziałom. Przy wywymarszu spostrzegł, iż nie ma kepi. Nie wiele myśląc, złapał z gwoździa owo ładne, paryskie i wsadził je na głowę.

— Nieszczęśliwy! — zawołał pułkownik, — nie bierz tej czapki!

— Dlaczegóżby nie?

— Ona przynosi nieszczęście. Pierwszy jej właściciel zginął, a dwóch kolegów, którzy ją po nim nosili, padło od kuli.

Jongmont uśmiechnął się, zdjął kepi z gwoździa i, wkładając je z fantazyą na bakier, zakomenderował:

— Naprzód — marsz!

Pułkownik potrząsnął siwą głową. Zdawało mu się, iż widzi anioła śmierci, krążącego dokoła głowy Jongmont'a.

III.

W piekielnym, suchym upale pustyni afrykańskiej wlokła się kompania krok za krokiem. Nie padł jeszcze ani jeden strzał. Powietrze drgało z gorąca. W bezlistnej przestrzeni majaczyły

Stuletnia rocznica zgonu Chodowieckiego.



Daniel Chodowiecki w gronie rodziny (według miedziorytu artysty).

Nowy król angielski.



Edward VII. udaje się z dworem do Izby panów, celem wypowiedzenia mowy tronowej.

Strejk szwaczek w Paryżu.



Zgromadzenie strejkujących w sali „giełdy pracy“.

gdzieś na skraju horyzontu białe burnusy Arabów, odrzynające się od ciemnego błękitu nieba.

Żołnierze weszli w wąwóz, którego stoki były pokryte gajem cienkich, zgrabnych palm. Nagle — pośród zieleni coś zabłysło, żółte ogniki wykwitły nakształt gwiazd obok purpurowego kwiecia i strzał po strzale począł bić w kompanię.

Wiara maszerowała dotąd dość opieszale, lecz ogień wnet ją skupił. Jongmont nie stracił bynajmniej zimnej krwi, lecz wydawał rozkazy, jak na placu rewii.

— Biegiem — marsz!

Za chwilę stanięto u końca wąwozu.

— Stój! Cel! Pal!

I tak szło przez kilka minut.

Nagle Jongmont zagadnął jednego z żołnierzy:

— Widzisz tego araba, co mierzy do mnie z za palmy? Dajno, druhu, karabin.

Za chwilę arab spadał już ze skały. Wojna, to wojna!

Za linią strzelców, która, leżąc na brzuchach, utrzymuje żywy ogień, widać postać młodego oficera, który obserwuje nieprzyjaciela. Tuż obok niego pada podoficer, szepcząc: „Boże, moja matka....“ Nagle, kula zrywa Jongmontowi kepi, jak gdyby śmierć składała mu swą kartę wizytową... Oficer podnosi czapkę z ziemi, spokojnie otrząsa z niej piasek i wkłada ją na głowę.

Po dwóch godzinach walki Jongmont zaczyna wycofywać swoich ludzi z ognia. Odwrót idzie świetnie. Pierwszy szereg strzela i zasłania w ten sposób całą kolumnę, postępującą zwolna z trębaczami i doboszami na czele. Dokoła harcują Arabi, ostrzeliwując gęsto kompanię, która, wziąwszy we środek rannych i zabitych, odpowiada ogniem plutonowym.

Już zdala widać chorągiew, powiewającą na Tubah. Wtem, nieprzyjaciel urządza nagły a gwałtowny atak, wywołując zamięszanie w oddziale.

— Formuj czworobok!

Salwy rozbrzmiewają, a w ślad za tem niejeden biały jeździec spada z siodła na gorący piasek.

— Gdzie porucznik? — słychać głosy, odzywające się zrazu trwożnie i nieśmiało, a potem coraz głośniej i boleśniej.

— W tej chwili upadł! — woła jakiś żołnierz; — tu, tu leży!

Przez niebieski mundur Jongmont'a sączą się krople krwi, zabarwiając czerwonawy piasek głębszym, purpurowym tonem.

— Zabijcie mnie, koledzy — szepcze Jongmont, — ale nie zostawiajcie mnie w rękach tych...

Mdleje. Stary, wytrawny sierżant obejmuje komendę.

— Naprzód, koledzy! Niech żyje Francya! Ognia!

Pamiątka po wielkim artyście.



Medyolańskie schronisko dla muzyków, ufundowane przez Verdiego.

Potężna salwa rozprasza nieprzyjaciela. Żołnierze składają swego porucznika na karabinach i niosą do lazaretu, szepcząc:

— „Tamten“ nie mógł ścierpieć, aby Jongmont nosił jego czapkę. Biedny porucznik...

Noc całą czuwa stary sierżant u łoża Jongmonta. Młodej duszy nie łatwo rozstać się z ciałem. Wreszcie świt wdziera się przez okno, a w ślad za nim wchodzą do szarej izdebki jasne dźwięki trąbek. Pobudka.

— Naprzód — marsz! Cel...

Jongmont, podniósłszy się ostatkiem sił, upada na poduszki...

Śmierć odchodzi — dokonawszy dzieła.

Daniel Chodowiecki.

W zeszłym miesiącu całe Niemcy obchodziły stuletnią rocznicę śmierci artysty-rytownika, który, aczkolwiek dość wysoko cenionу przez współczesnych, uzyskał dopiero po śmierci taki rozgłos, na jaki znakomite, na wskróś oryginalne jego prace w zupełności zasługują.

Artystą tym był Daniel Chodowiecki.

Ujrzał on świat w Gdańsku, 16 października 1726 roku, jako drugi syn tamtejszego kupca, Gotfryda Chodowieckiego, i został przeznaczony do stanu kupieckiego. Po śmierci ojca (w 1740 r.) wstąpił jako uczeń do handlu towarów korzennych, a w trzy lata później został przez swego dziadka, Ayrera, zabrany na praktykę do pracowni złotniczej w Berlinie. Tam uczył się malować niewielkie obrazki, które potem sprzedawano.

W Berlinie było podówczas w modzie emaliowanie kosztowności, więc Ayrer kazał obu swoim wnukom (gdyż bratem jego, Gotfrydem, również się zajął) uczyć się tej sztuki. Daniel, wielce pojętny, a obdarzony niezwykłą wytrwałością, skorzystał wkrótce tak wiele, że wyroby jego poczęły zyskiwać sobie nawet sławę pewnego rodzaju. Odtąd przestał go dziadek używać do sprzedawania w sklepie, a młody artysta mógł w zupełności oddać się pracy nad swoim zawodem.

Z tych czasów zachowało się bardzo niewiele autentycznych prac Chodowieckiego. Te, które pozostały, okazują niemały wpływ mistrzów francuskich, w szczególności Bouchera i Watteau.

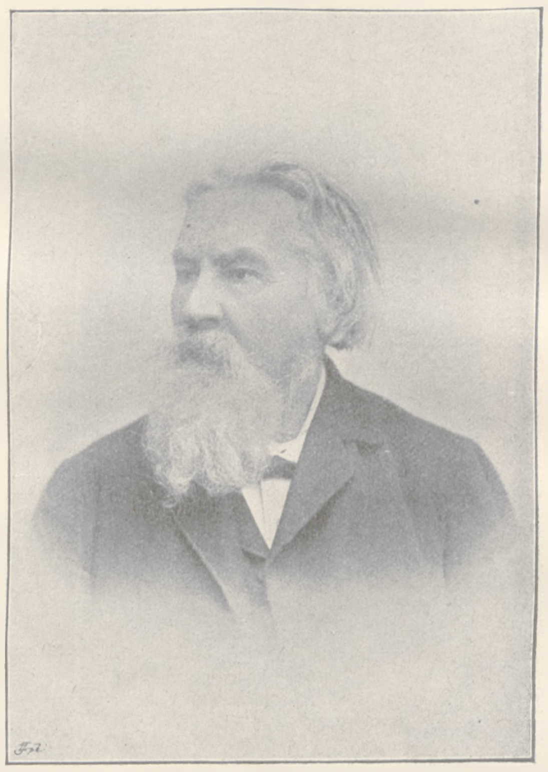
Po wielu próbach w zakresie malarstwa, które ujawniają coraz to silniej budzącą się indywidualność Chodowieckiego, udało mu się nareszcie trafić na właściwą dla siebie drogę. W roku 1767 namalował Chodowiecki obrazek p. t. *„Les Adieux de Calas à sa famille“* i, zachęcony powodzeniem, jakie przypadło temu obrazkowi w udziale, postanowił rozpowszechnić go za pomocą odbitki. „Wielki Calas“ wyszedł w r. 1768 z pod prasy i w krótkim czasie rozsławił imię swego twórcy w szerokich sferach. Odbijano go niezliczoną ilość razy i sprzedawano masami.

Ten sukces rozstrzygnął o losie Chodowieckiego, który poświęcił się odtąd wyłącznie rytownictwu, kładąc każdem następnem dziełem nowy fundament pod swoją przyszłą sławę. Wkrótce zaczęto go uważać za znakomitego illustratora zarówno w zakresie literatury pięknej jak i naukowej i starać się o pozyskanie jego współpracownictwa przy wydawaniu dzieł wszelkiego rodzaju. Pomiędzy książkami, wydanemi od 1770—1800 roku nie ma prawie ani jednej, posiadającej znaczenie w jakimkolwiek kierunku, któraby nie była zaopatrzoną przynajmniej w tytułowy miedzioryt Chodowieckiego. Dzieła Schillera, Lessinga, Goethego, Szekspira, Wielanda, Lavatera, Klopstocka, Basedowa, Bürgera, Gellerta, Le Sage'a, Buffona, Pestalozziego, Jean Paul'a i wielu innych zostały przezeń ozdobione miedziorytami, które wartością swoją przewyższają nieraz prace słynnego Hogarta.

Najbardziej uderza w nich realizm i bezpośredniość obserwacyi życiowej, daleka od wszelkiej teatralności i pozy. Chodowiecki nie posiadał daru olbrzymiej inwencyi, lecz to, co przedstawiał w swoich pracach jako przejaw ówczesnego życia, pozostało po dziś dzień życiem i rzeczywistością. Wszystkie charakterystyczne postacie stulecia: rozmarzeni młodzieńcy i sentymentalne dziewice, surowi ojcowie i łagodne mateczki, nadęci dworzanie i spokojni mieszczanie, cyniczny filozof i zapalony bojownik „praw człowieka“, wszyscy żyją swem odrębnem życiem i zdumiewają trafnością charakterystyki. Czasami popada jeszcze Chodowiecki w naśladownictwo francuskiej maniery z jej klasycznemi allegoryami i wewnętrzną pustką, lecz główną cechą jego twórczości jest realizm; to, czego na tem właśnie polu dokazał, nie pójdzie nigdy w niepamięć. Dość wymienić sztychy z podróży do Gdańska, przedsięwziętej w r. 1773; są to historyczno-obyczajowe dokumenta pierwszorzędnego znaczenia, stawiające w pełnem oświetleniu łagodnie-jowialną naturę wielkiego artysty i znakomitego obserwatora.

Chodowiecki, tknięty atakiem apoplektycznym w r. 1800, uległ jego następstwom 7 lutego 1801 roku, doszedłszy do ogromnej a zasłużonej sławy. Należy też wspomnieć, że rodzina Chodowieckich, jak to już samo nazwisko wskazuje, była polską i z Polski przybyła do Prus pod koniec XVII stulecia.

Śmierć nestora malarzy polskich.



Ś. p. Wojciech Gerson † 25. II. 1901.

Leonard Lepszy.

Wyspiański i Malczewski.

„Kazimierz Wielki“ — „Zmartwychwstanie“.

> A ty się skarżysz, że ktoś w braci tłumie
> Twych myśli i mów i dzieł nie rozumie?
>
> *Mickiewicz, „Arcy-Mistrz“.*

Czy artysta polski koniecznie ma malować, jak Rafael, lub Rembrandt, Herkomer, Bonnat, lub Böcklin, skoro, nie potrzebując być naśladowcą, może i winien, gdy tylko jego organizm duchowy jest silnym i samoistnym, pójść drogą własną, być sobą, wypowiadać własne idee, być, jednem słowem, narodowym?

Zdawałoby się, iż na to pytanie jednaby mogła być tylko odpowiedź, a jednak jednostki zamożne i wpływowe, tudzież większość komitetów naszych Towarzystw artystycznych, zakosztowawszy rozkoszy widzenia arcydzieł, bądź nowoczesnej sztuki zagranicznej, bądź też mistrzów dawnych, czuje w sobie wielkie, niczem niepohamowane powołanie do powściągania fantazyi rodzimej i wtłaczania jej w ramy własnej wyobraźni, — która nieraz, pożal się Boże, marną jest, — a wielką jedynie w ich własnych oczach. Zapędy takie przynoszą niezaprzeczenie szkodę sztuce samej, bo wiążą ją w powijaki ciasnych poglądów, lecz są ludzkie, — nieuniknione. Historya uczy, że zjawisko podobne powtarza się po wszystkie wieki i u wszystkich ludów. Papież Juliusz II podziwia i zachwyca się potężnem dziełem Michała Anioła: polichromią kaplicy Sykstyńskiej, — lecz Adryan VI, zwany przez Rzymian barbarzyńcą, widzi w niej jedynie komnatę, zapełnioną nagimi ludźmi, a Paweł IV każe ich nagość zamalować, aby znów następcy jego z całym pietyzmem kazali zdjąć przemalowanie. W Wiedniu, nie dalej, jak w roku zeszłym, polichromia Klimta dzieli władze uniwersyteckie na dwa wrogie obozy, które godzi dopiero orzeczenie ministerstwa, mówiące: pilnujcie nauki, którą chcecie mieć wolną i niepodległą, a dozwólcie również artyście być samym sobą i nie nakładajcie mu kajdan własnego widzenia.

Prace dekoracyjne p. Stanisława Wyspiańskiego były i są przełomowego znaczenia; on właśnie łamał u nas pierwsze lody i genialnym rzutem pokazał w polichromii oraz witrażach Franciszkańskich, że można artyzm gotyckich sztukmistrzów rozwinąć dalej i pchnąć go nową drogą, bitą narzędziem nowoczesnej techniki. Jeden z profesorów tutejszej szkoły przemysłowej w broszurce o „Ornamencie roślinnym“ lekko i pobopnie odsądza p. Wyspiańskiego od oryginalności, pomawiając go o import wzorów francuskich. Jeżeli wogóle istnieje jakiekolwiek pokrewieństwo między sztuką francuską a Wyspiańskim, to na upartego dopatrywaćby się można tego powinowactwa formy tylko w malarskich utworach Eugeniusza Grasseta i jego zasadniczych prawidłach kompozycyjnych; tymczasem duch, jaki wieje z dzieł jednego i drugiego, jest nawskróś odmienny. Jeden koń, namalowany przez Kossaka, a drugi, dajmy na to, przez Chełmońskiego, mimo jednej i tej samej rasy, mimo nawet jednego wzoru, będzie rysunkowo i pod względem kolorytu odmiennie pojęty, choć oba mogą być arcydziełami. Taż sama głęboka różnica pojęć zachodzi też między Grassetem a Wyspiańskim. Wspólność tematu, jakim jest ornament roślinny, i tożsamość pewnych zasadniczych pojęć o jego zastosowaniu nie jest jeszcze naśladownictwem. Wyspiański jest artystą z umysłem świetnie uposażonym, którego fantazya roziskrza się we własnem jestestwie i bez podniety postronnych wpływów bezpośrednich, mknie i porywa nas z sobą w bezzmysłowe zaświaty duszy czystej i nieśmiertelnej. Zwolennicy nikomu niezrozumiałych poglądów na sztukę nowoczesną, głoszonych przez hr. Tołstoja, który w czambuł potępia najnowszą sztukę francuską, uważając ją za zarażoną całkowicie dekadentyzmem, będą zapewne utwory Puvis'a de Chavannes, jak i naszego Wyspiańskiego uważali za nieznośną manierę; tym i Michał Anioł nie dogodzi, bo i on, jak słusznie mówi J. Klaczko w „Wieczorach florenckich“, z umysłu i z postanowienia nie troszczył się o plastyczną piękność sztuki greckiej, jak z umysłu także i do końca niedbał o mistyczny wdzięk sztuki chrześcijańskiej. W dziełach Wyspiańskiego jest pierwiastek kształtu zaczerpnięty niemal wyłącznie z typów ludowych, który to pierwiastek wyciska na nich rys wprawdzie swojski i bezwzględnie rodzimy, ale złączony z tchnieniem prostaczem, na które czciciele formy względnego piękna we wszystkich szczegółach, wypowiedzianego nawet choćby kosztem prawdy, nigdy się nie zgodzą. Jedni też upatrują w Wyspiańskim pierwiastek archaiczny, inni dostrzegają dziwactwo, posunięte do granic karykatury, która, niewątpliwie wskutek lekceważenia w jego studyach kształtu, a śledzenia wyłącznego za nastrojem, symbolem, lub typem, pojawia się u niego zbyt często w postaci zyzowatych oczu, krzywych policzków, walących się linij perspektywicznych i t. p. To lekceważenie formy nie umniejsza wprawdzie bogatej treści i nie czyni ujmy cudownym efektom kolorystycznym, lecz zawsze zraża widzów do myśli, zawartej czasem w niedość pięknym kształcie.

Wyspiański w swojej organizacyi umysłowej należy do najwszechstronniejszych i najbardziej niezależnych artystów polskich. Jest malarzem, rzeźbiarzem i poetą, a wszystkie te niepospolite talenty mimo iż obniża znaczenie piękności kształtu ciała ludzkiego, łączą się u niego w jeden potężny akord. (D. c. n.).

Nasze ryciny.

Giuseppe Verdi nie zadowolnił się zostawieniem po sobie trwałej pamiątki w umysłach i sercach swoich współziomków, przez stworzenie tylu nieśmiertelnych dzieł muzycznych. Pragnąc by imię jego było wspominane nietylko z czcią, lecz i z wdzięcznością, założył w Medyolanie „casa di riposo per musicisti“, t. zn. dom odpoczynku dla muzyków i śpiewaków, którzyby na starość, popadłszy w ciężkie położenie, nie mieli z czego się utrzymać. Dom ten, wybudowany kosztem kilku milionów i zaopatrzony we wszystko, co może służyć dla wygody i pożytku pensyonarzy, będzie przytułkiem i schronieniem niejednego artysty. Mieszkańcy jego znajdą tam nietylko dach nad głową, ale i całe, skromne lecz dostatnie utrzymanie, piękny park, kaplicę gdzie przed kilku dniami spoczęły zwłoki Verdiego, a nawet salę koncertową z niewielką scenką. Weterani sztuki będą mogli przypominać sobie na niej tryumfy, odnoszone niegdyś na deskach prawdziwych teatrów. Trudno chyba o piękniejszy i trwalszy pomnik dla Verdiego-artysty i Verdiego-człowieka.

Mroźna tegoroczna zima zapisała się w pamięci ludzkiej kilku strasznymi zdarzeniami. Jednem z najokropniejszych był napad, urządzony przez zgłodniałe wilki na kilku rumuńskich żołnierzy, którzy, otrzymawszy parudniowy urlop, udali się na wieś do rodziny. W drodze zostali wszakże zaatakowani przez stado wilków, i po rozpaczliwej obronie, zginęli wszyscy z wyjątkiem jednego, który zdołał ocalić życie ucieczką.

Król angielski Edward VII. udał się przed kilku dniami do Izby lordów, by tam odczytać swą mowę tronową. Przy pochodzie urządzonym z tej okazyi, zachowano wszystkie stare obyczaje i obrzędy, wprowadzone na dworze angielskim od bardzo dawnych czasów. Przed królem niesiono miecz, koronę i nakrycie głowy, zbliżone nieco kształtem do czapki frygijskiej. Osoby stanowiące orszak, przywdziały strój średniowieczny, a straż parlamentarna była ukostyumowaną za

grandów hiszpańskich. Sam król miał na sobie płaszcz gronostajowy z długim ogonem, który nieśli paziowie. Mowa tronowa, wygłoszona przez króla po przybyciu do sali posiedzeń, została nagrodzoną hucznymi oklaskami.

Niedawno podaliśmy czytelnikom rycinę, na której był wyobrażony balon hr. Zeppelina. Łódź napowietrzna, którą można oglądać na dzisiejszym rysunku, pomysłu i konstrukcyi inżyniera wiedeńskiego, Kressa, różni się od balonu Zeppelina tem, że nie posiada żadnego rezerwoaru napełnionego gazem. Kress, poparty materyalnie przez cesarza Franciszka Józefa i gminę wiedeńską, zbudował sobie pracownię i warsztat koło Wiednia, nad brzegiem wielkiego basenu. Statek napowietrzny Kressa, chcąc się wznieść do góry, musi nasamprzód wejść w ruch na ziemi lub na wodzie z szybkością 10 metrów na sekundę. Do poruszania go służą dwie śruby, skonstruowane (jak widać na rysunku) z płótna rozpiętego na stosownym szkielecie drewnianym; w ruch wprawia je motor benzynowy. Sterowanie odbywa się przy pomocy całego szeregu płóciennych żagli, umocowanych ponad sobą. Znawcy aeronautyki przepowiadają pomysłowi Kressa wielką przyszłość.

Złoto angielskie musi mieć, jak się zdaje, niemałą moc przyciągającą, skoro nawet między dzielnymi Boerami znajdują się zdrajcy, którzy za wynagrodzeniem dopomagają Anglikom w podboju własnej ojczyzny. Na pochwałę wytrwałych obrońców Transwalu przed łupiestwem wyspiarzy należy dodać, że tylko kilku nikczemnikom zapachniały judaszowskie srebrniki, a i ci ponieśli zasłużoną karę. Jak widać z dzisiejszej ryciny, rozebrano ich do naga i wypędzono z obozu, siekąc biczami aż do krwi. Jak na tak ohydną zbrodnię, kara, doprawdy, zbyt łagodna!

Rozruchy antyjezuickie w Madrycie, wywołane przetrzymywaniem w klasztorze panny Ubao mimo woli rodziców, a podsycone niepopularnem między ludnością kraju małżeństwem księcia Carlosa Bourbon z księżniczką Asturyi, przycichły już niemal zupełnie. Jedna z rycin dzisiejszych przedstawia scenę z rozruchów, które miały miejsce przed klasztorem OO. Jezuitów w Madrycie, gdzie lud, pod wodzą studentów i robotników, rozbijał kamieniami szyby wśród burzliwych okrzyków i usiłował dostać się do wnętrza klasztornych zabudowań. Dopiero żandarmeryi udało się rozproszyć groźne, pełne zaciekłości tłumy i przywrócić względny spokój.

Francya ma ciągle do czynienia ze strejkami. Niedawno ukończyła się zmowa dorożkarzy i personalu kolei miejskiej, strejk górników w Montceau-les-Mines trwa jeszcze dalej, obecnie zaś zaczął się strejk krojczyń i szwaczek. Żądają one ośmiogodzinnej pracy a jako minimum zapłaty 6 franków dziennie. Obecnie przeciętna płaca szwaczki wynosi 3 franki dziennie; tylko bardzo zdolne dochodzą do sześciu. Zgromadzenia strejkujących odbywają się w wielkiej sali na „giełdzie pracy“ i są bardzo licznie odwiedzane, czemu się nie można dziwić, zważywszy iż ilość szwaczek w Paryżu dochodzi do sześćdziesięciu tysięcy. Szwaczki należące do strejku, usiłują wciągnąć tam jak najwięcej koleżanek, skutkiem czego na ulicach, gdzie znajdują się wielkie magazyny strojów damskich, np. koło Wielkiej Opery, przychodzi często do różnych zajść między strejkującemi, a nienależącemi do zmowy, tak, że policya musi wkraczać. Ciekawą jest rzeczą iż gros szwaczek paryskich stanowią — cudzoziemki: Niemki, Angielki, Irlandki, Włoszki, a nawet Polki i Czeszki; Francuzek jest bardzo mało.

Ciężka choroba niemieckiej cesarzowej-wdowy, Fryderykowej, jest jak się zdaje, rakiem, więc lekarze utracili już prawie zupełnie nadzieję wyzdrowienia, zwłaszcza że wiadomość o śmierci królowej Wiktoryi oddziałała niekorzystnie na stan pacyentki. W zamku Friedrichshof, zbudowanym przed 6 laty w górach Taunus, gdzie leży cesarzowa, zjechał się przed paru dniami cesarz Wilhelm z królem Edwardem VII.

Fotografia ś. p. Wojciecha Gersona nestora malarzy polskich, którego życiorys zamieściliśmy w zeszłym numerze (umarł przed kilku dniami w Warszawie) oraz portret Daniela Chodowieckiego słynnego artysty-sztycharza (patrz artykuł) wraz z reprodukcyą jego własnego miedziorytu, który przedstawia artystę w gronie rodziny — zamykają szereg rycin, pomieszczonych w dzisiejszym numerze.

Łamigłówka krzyżowa.

	a	a	a	
a	b	b	e	e
e	i	r	r	s
s	s	s	t	t
	t	w	w	

W powyższej łamigłówce przestawić litery tak, aby czytane pionowo i poziomo oznaczały:
1) imię męzkie lub pseudonim znanego powieściopisarza polskiego.
2) tytuł jednego z pism polskich tygodniowych.
3) imię żeńskie włoskie.

Walka o życie.



Żołnierze rumuńscy, napadnięci przez wilki.

»PSUBRATY«.

Powieść na tle stosunków współczesnych.

(Ciąg dalszy).

CZĘŚĆ II-ga.

I.

Upłynęło lat kilka.

Pewnego poranku, o wczesnej godzinie, kiedy mgły otulały jeszcze załomy ulic, dwóch mężczyzn szło przyspieszonym krokiem ulicą, prowadzącą ku gmachom sądowym.

Szli w milczeniu, nic do siebie nie mówiąc. Jeden z nich wyglądał na robotnika, odzienie miał wytarte, twarz o rysach grubych i zmęczonych. Drugi ubrany był starannie; złote binokle i pierścienie na palcach ręki, z której zdejmował nową, czerwoną rękawiczkę, dawały mu pozór zamożności.

Gdy weszli do przedsionka sądu, ten z dwóch, który wyglądał na robotnika, zapytał woźnego, czy prezydent sądu już w biurze, a gdy otrzymał potwierdzającą odpowiedź, prosił o wskazanie drogi.

Woźny, który już przedtem dziwił się niezwykle wczesnemu w tym dniu przyjściu pana prezydenta do biura w sądzie, zmierzył od stóp do głów tych niezwykłych gości.

— Na pierwszem piętrze, tam pokażą; a panowie jaki mają interes?

— My tu z listem polecającym do pana prezydenta. Kazano nam przyjść prosto z pociągu, bo my dopiero przyjechali.

Za chwilę obaj mężczyźni znaleźli się w biurze prezydyalnem.

Prezydent sądu wstał od biurka. Wysoki, okazały, łysy, z krawatką o nadzwyczajnej barwie, ozdobioną niemożliwych rozmiarów szpilką, był widocznie jeszcze silnie zaspany. Oczy kleiły mu się wyraźnie, a w chwili, kiedy otwierały się drzwi, właśnie kończył przeciągłe ziewanie.

— A, zapewne pan Frosch! — rzekł, zwracając się do człowieka w wytartem odzieniu. — Właśnie czekam na pana. No cóż? przywozisz pan, jak widzę, człowieka, o którego nam chodziło.

— Przywożę, wielmożny panie prezydencie — odrzekł Frosch. — Tu jest właśnie list od pana dyrektora policyi z Tryestu; tam musi być fotografia tego pana, na dowód, że to właśnie on jest.

Prezydent odczytał list, obejrzał fotografię, porównał ją z fizyognomią pana w złotych binoklach i zapytał:

— Pan jesteś pan Finländer?

— Tak jest, panie prezydencie.

— Panu mówiono, o co idzie?

— Mniej więcej, panie prezydencie.

— Długo pan siedziałeś w więzieniu tryesteńskiem?

— Ośm lat, panie prezydencie.

— Jak dawno pana wypuszczono?

— Dwa miesiące temu zostałem amnestyonowany.

— Czem się pan teraz zajmujesz? Widzę, że nie dokucza panu nędza.

— Nie. W cztery lata po mojem uwięzieniu nadesłano do zarządu więzienia znaczną kwotę pieniężną, z poleceniem, aby wręczono mi ją wtedy, kiedy będę opuszczał więzienie. W liście tym, bezimiennym, proszono mnie, abym opuścił Europę i nigdy do niej nie wracał. Otrzymałem polecenie zamieszkania w Hongkong, gdzie Bank francuski miał mi wypłacać co dwa tygodnie pensyę na dostatnie utrzymanie.

— Pan jednak tego warunku przyjąć nie chciałeś?

— Namyślałem się. Tymczasem, dopóki mi starczyło pieniędzy, uznałem za stosowne mieszkać w Wenecyi. Stosownie bowiem do umowy z moją żoną, tam mieliśmy się spotykać i tam wysyłaliśmy korespondencye poste restante, dla siebie przeznaczone.

— Czy w więzieniu korespondowałeś pan z żoną?

— Ja wysłałem do niej kilka listów pod umówionym adresem do Wenecyi, ale żadnej nie dostałem odpowiedzi. Miałem jednak nadzieję, że tam się o niej coś dowiem od naszych współwyznawców.

— I dowiedziałeś się pan czegokolwiek?

Finländer uśmiechnął się. Namyślał się przez chwilę, potem odrzekł:

— Coś niecoś, ale bardzo niedokładnie. Dopiero rozmowa z panem Froschem objaśniła mnie cokolwiek więcej.

Frosch wmięszał się do rozmowy, bo prezydent spojrzał pytająco w jego stronę.

— Ja, proszę pana prezydenta, niewiele umiałem objaśnić pana Finländera. Kiedy go zdołałem odszukać w Wenecyi, pokazałem mu fotografię, którą mi dał pan dyrektor policyi w Tryeście, i powiedziałem mu, że to fotografia księżnej Czarotyńskiej. Potem mu zaproponowałem, aby pojechał razem ze mną do Lwowa, a kiedy mi nie ufał, namówiłem go, aby wrócił do Tryestu, a tam pan dyrektor policyi przyrzeknie mu urzędowo, że zostanie za to wynagrodzony.

— I pan dyrektor policyi w Tryeście zdołał pana do podróży w towarzystwie Froscha namówić. Ale celu tej podróży pan nie zna?

— O ile się domyślam, idzie o zdemaskowanie mojej żony.

— Niezawodnie. Idzie jednak także o coś więcej. Ja jednak nie wiem jeszcze, czy my możemy na pana liczyć... Nie wiem, czy nie sprzeciwia się pańskim uczuciom, działać bądź co bądź na zgubę swojej żony, która zapewne postąpiła wobec pana niegodnie, wszakże być może, nie straciła jeszcze pańskiego przywiązania.

(C. d. n.)

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: **Kazimierz Ehrenberg.**